

Do Serbii mieliśmy wjechać z Kosowa, ale niestety nawet bez kosowskich stempli w paszportach, na które serbscy celnicy są wyczuleni, i tak zawrócono nas z granicy. Kazano nam udać się ponownie do Macedonii, w której byliśmy kilka dni wcześniej podczas naszej bałkańskiej wyprawy i stamtąd spróbować wjechać na terytorium Serbii, tym razem według nich ...legalnie. Tak się niefortunnie złożyło, że teraz by dotrzeć na północ Europy, do naszego rodzinnego domu w Polsce, musieliśmy jechać, o ironio, na południe kontynentu. Tak to już jest, że czasem, aby zrobić dwa kroki do przodu trzeba najpierw zrobić krok do tyłu.

Serbowie nie uznają państwowości Kosowa od czasów wojny i nalotów NATO z 1999 roku. Ogłoszenie niepodległości przez Kosowarów w lutym 2008 roku, którą poparła tylko część społeczności międzynarodowej, w tym Polska, spowodowało protest Serbii i jej wniosek do Międzynarodowego Trybunału Sprawiedliwości w sprawie określenia legalności tej jednostronnej decyzji o uniezależnieniu się ich prowincji. Trudno się dziwić ich zawziętości, bo chyba każdy naród za jeden z najważniejszych priorytetów uważa ochronę integralności swojego państwa.

Nawet mimo okrucieństw wojen bałkańskich z lat 90-tych, gdy Serbowie starali się bronić jugosłowiańskiej jedności, co by nie mówić sztucznego politycznie i kulturowo tworu, trzeba wiedzieć także o tym, że sami doświadczyli wtedy też wielu nieszczęść i niesprawiedliwości. Do dzisiaj chociażby wątpliwa wydaje się decyzja o nalotach NATO bez rezolucji ONZ, co było dotąd podstawową normą w takich wypadkach. W wyniku masowych bombardowań zginęło wówczas też wielu cywili i zniszczono infrastrukturę kraju.

Z kolei podczas działań odwetowych przez kosowskich Albańczyków w 2006 roku, gdy sporne terytorium było pod egidą ONZ, przy pasywności sił KFOR przesiedlono lub wypędzono ok. 300 tys. Serbów. Część z nich wywieziono do Albanii w celu pobrania narządów wewnętrznych do transplantacji, co jest do tej pory nie wyjaśnionym, międzynarodowym skandalem. To tylko potwierdza, że ostatni konflikt bałkański nie poddaje się jednoznacznej ocenie. Im więcej poznawaliśmy poszczególne kraje, tym bardziej się o tym przekonywaliśmy.

Ten swoisty kocioł bałkański cały czas wrze i kipi. Bułgarzy nie cierpią Turków za pięćsetletnią okupację ich kraju, ale są wdzięczni Rosjanom, którzy ich od tego uwolnili. Na dodatek Bułgarzy nie znoszą Macedończyków, uznając, że to ich pradawne ziemie i drwiąc, że macedoński język jest jedynie jednym z bułgarskich dialektów. Macedonii do tej pory nie uznaje Grecja, która uważa, że bezprawnie przyjęła ona nazwę ich starożytnej prowincji i odnosi się bezpodstawnie do Aleksandra Wielkiego, który był przecież greckim bohaterem i nie miał nic wspólnego z tym słowiańskim narodem.

Macedończycy są też skonfliktowani z Albanią, która, co ostatnio wydaje się już oczywiste, aspiruje do stopniowego uzależnienia Kosowa, a i na macedońskie władze ma coraz większy wpływ poprzez swoją 25% mniejszość. Problem Kosowa, z perspektywy czasu, wydaje się dzisiaj konfliktem nie między Serbią a separatystami, ale raczej jest to wynik aspiracji dwóch narodów - albańskiego i serbskiego do tego terytorium.

Sama Serbia, uznająca się za serce Jugosławii, musiała najpierw pogodzić się z jej rozpadem w wyniku nie tak dawnych krwawych wojen domowych, by w 2006 roku utracić też po referendum niepodległościowym Czarnogórę, a w dwa lata później wspomniane wcześniej Kosowo. W tym kotle jest też Rumunia, która wciąż ma niewyjaśnione spory graniczne z Bułgarią, Węgrami i Ukrainą, a w dodatku rości sobie prawa do terytorium Mołdawii i Naddniestrza.

Teraz mieliśmy poznać bliżej serbski kraj, który według medialnych przekazów był głównym zarzewiem ognia pod tym bałkańskim kotłem. Przymusowa „cofka” z kosowsko-serbskiej granicy była naszym pierwszym kontaktem z Serbami. Nie chcieliśmy z nimi dyskutować, gdyż grzecznie acz stanowczo wyjaśnili nam, że nie miałyby to sensu. Nasuwały nam się jednak logiczne pytania. Skoro uważają, że nielegalnie przekroczyliśmy granicę serbską wjeżdżając na terytorium Kosowa, to dlaczego na owej granicy nie było serbskich celników, tylko są tutaj, czyli według nich w środku kraju?

To chyba nie nasza wina, że nikt z nas nie miał tzw. „licznej karty”, co było oficjalnym powodem zakazu przekroczenia granicy. Jak rozumieliśmy chodziło o to, że nie miał nam kto wbić serbskich pieczętek wjazdowych do paszportów na kosowskiej granicy. Ale szkoda było nam tracić więcej czasu na zadawanie tego typu pytań w tej dość absurdalnej sytuacji i grzecznie zrobiliśmy nawijkę do kosowskiej Prisztiny, a potem pod macedońskie Skopje.

Ponownie próbowaliśmy przekroczyć serbską granicę w Kumanowie i od razu utknęliśmy w sporej kolejce. Straciliśmy w niej około godzinę czasu, a na dodatek nie mogliśmy się opędzić od żebrzących kobiet z dziećmi. Zastanawialiśmy się czy po serbskiej stronie będzie podobnie, ale jak się później okazało Serbowie jakoś umieją rozwiązywać tego typu problemy, bo nie widzieliśmy tam takich obrazków.

Na tym punkcie granicznym celniczka zapytała tylko gdzie jedziemy i czy mamy coś do oclenia, po czym wpuściła nas do swego kraju. Nasza droga wiodła do Niszu, gdzie chcieliśmy się zatrzymać na obiad. To całkiem przyjemne miasto, mające około ćwierć miliona mieszkańców, było podczas I wojny światowej stolicą Serbii. Dzisiaj to trzecia, co do wielkości, aglomeracja w kraju. Obiad zjedliśmy przy głównym placu w samym centrum, w restauracji „Gnezdo” czyli „kurczakowej knajpce”, gdzie zamówiliśmy między innymi takie specjały jak „pilevici corba”

czyli rosół z kury i drobiowe szaszłyki, które smakowały nam że hej.

Syci udaliśmy się na zwiedzanie starówki, gdzie doprowadził nas most przed rzekę, z którego widać było obwarowania dawnego miasta i bramę główną. Kilkadziesiąt minut przechadzaliśmy się alejkami po parku istniejącym dziś za murami, który skrywa w sobie pozostałości z czasów Imperium Osmańskiego. Można tam obejrzeć dość zrujnowany meczet, dawny hamman (łaźnie) i inne zabudowania, w których dziś urządzono galerie, kawiarnie i sklepiki. Ciekawe jest też lapidarium ukryte wśród drzew.

Do auta wracaliśmy przez parczek przy promenadzie, w którym znajdują się popiersia „narodnich gerojów”, w tym jakiegoś nieznanego nam bliżej piłkarza. Jak wyczytaliśmy w przewodniku, główną atrakcją turystyczną Niszu jest „wieża czaszek”, którą chcieliśmy koniecznie zobaczyć. Niestety trafić do niej było nam dość ciężko, bo nawet gdy udało nam się po nielicznych drogowskazach dojechać na wskazywaną ulicę, to za żadne skarby nie mogliśmy dostrzec osławionej wieży mającej znajdować się, według zapytywanych przechodniów, tuż przy samej drodze. Jak się okazało powinniśmy wypatrywać kaplicy, a nie wieży, gdyż obecnie jest ona właśnie zabudowana w postaci małej świątyni narodowej.

Mieliśmy wielkie szczęście, bo chociaż kasa na parkingu już była zamknięta, udaliśmy się do kaplicy, gdzie zastaliśmy jeszcze kustosza, który wygaszał światła i miał zamykać obiekt. Po gorących prośbach i uiszczeniu odpowiedniej kwoty bez żądania biletów, ten miły jegomość zdecydował się pozwolić nam na obejrzenie tej tragicznej pamiątki po osmańskich okupantach. Podobno Turcy po jednej z bitew kazali wszystkim jeńców zabić, a ich czaszki wmurowali w ściany wysokiej na kilkanaście metrów wieży, jako przestrożę dla narodu serbskiego przed kolejną rewoltą. Do dzisiaj zachowało się kilka metrów kwadratowych ścian u nasady tej budowli i ok. 50 czaszek, które naprawdę robią przerażające wrażenie.

Zaczęło zmierzchać i nie zamierzaliśmy, po tym co zobaczyliśmy, zostawać tutaj na noc. Na szczęście od Niszu na północ przebiega autostrada, którą mieliśmy zamiar dotrzeć jeszcze tego wieczora do stolicy Serbii. Opłaty uiszcza się na bramkach i wychodzi to jakieś 20 zł za każde 120-150 km jazdy.

Niestety zmęczenie i późna pora kazały nam szukać noclegu już w połowie drogi do Belgradu. Zdecydowaliśmy się zjechać do miejscowości o całkiem przyjemnej nazwie, a mianowicie Jagodina, czyli po naszymu Truskawka.

Główna ulica, na którą wjechaliśmy w pewnym momencie robi się ślepą uliczką, a jej dalszy odcinek stanowi miejski deptak. Jak nam doradziła młoda kobieta zagadnięta o tani nocleg, powinniśmy się udać

do małego pensjonatu kilkaset metrów stamtąd, bo jedyny hotel w mieście jest w socrealistycznym stylu i przechodzi właśnie remont. W owym pensjonacie poinformowano nas, że nie ma miejsc, ale na całe szczęście jakimś cudem młody człowiek schodzący ze schodów stwierdził, że przecież jest ostatni wolny pokój na drugim piętrze, który wzięliśmy w ciemno nie mając innego wyboru.

Nasz wybawca, który był chyba synem właścicielki pensjonatu, poszedł ze mną po samochód, by go zaparkować na tyłach pensjonatu. Po drodze opowiadał mi jak wiele atrakcji ma Jagodina i jak władze nie chcą jej promować. Mówił też coś o mafii, malwersacji publicznych pieniędzy, braku perspektyw w jego kraju i tego typu rzeczy. Znałem te historie z Bułgarii, ale tamten kraj jest członkiem Unii Europejskiej, a Serbia raczej nie aspiruje do członkostwa w tych strukturach. Widać wszędzie są te same problemy, gdy się nadstawi dobrze ucha i pociągnie za język.

Podczas tego krótkiego, nocnego spaceru po miasteczku zauważyłem spore tłumy przechadzające się po deptaku. To chyba zasługa chłodniejszej pory po upalnym dniu i tych atrakcji o jakich wspominał mój rozmówca, wśród których zapewne przoduje park wodny i zoo, co nas dosyć zaskoczyło, bo nasz przewodnik Jagodinę opisywał dosyć lakonicznie. Rankiem udaliśmy się jednak tylko na krótki spacer po miasteczku, oglądając między innymi zabytkowe domy przy głównej ulicy, która za dnia znów stała się przejezdna oraz cerkiew z wieżą zegarową, a także robiąc niezbędne zakupy.

Po jakiejś godzinie jazdy autostradą dotarliśmy na przedmieścia Belgradu. Zjechaliśmy do centrum miasta szukając miejsca do parkowania, bo wszędzie były zakazy. Przycumowaliśmy na chodniku koło podziemnego parkingu i udaliśmy się w kierunku twierdzy Kalemegdan nad Dunajem.

Biały Gród, to jedno z najstarszych miast w Europie, którego korzenie sięgają 7000 lat. Tereny między Sawą a Dunajem były już zamieszkiwane w paleolicie. To stolica powojennej Jugosławii i dzisiejszej Serbii. Tu zabito w 2003 roku premiera i protestowano na placu przed Teatrem Narodowym przeciwko polityce Milosewica. Tu dzisiaj znajduje się kulturalne, gospodarcze i polityczne centrum państwa serbskiego.

Twierdza Kalemegdan jest warta zachodu, chociażby dla widoków na Dunaj i Sawę, które zbiegają się wzdłuż jej murów. Od strony Bramy Stambulskiej pod murami stoją stare tanki i działa stanowiąc muzeum wojskowe pod gołym niebem, które powinny zainteresować nie tylko pasjonatów historii. Na terenie twierdzy znalazłem metalowy bunkier z nowszych czasów, co może wskazywać, że służyła ona do działań obronnych nie tylko w czasach osmańskich, ale także późniejszych. Dziś po twierdzy można się poruszać swobodnie za darmo, albo turystyczną

kolejką. Przed wejściem na teren Kalemegdanu stoi pomnik wdzięczności Francji, prawdopodobnie za wyzwolenie spod okupacji austro-węgiersko-niemieckiej w czasie I wojny światowej.

Warto też przespacerować się główną arterią miasta, czyli bulwarem Kneza Michailova, gdzie istnieje sporo przytulnych kafejek i secesyjnych kamienic. To ulubione miejsce spacerów nie tylko niezbyt licznych turystów, ale przede wszystkim mieszkańców stolicy. W drodze do twierdzy Kalemegdan, która znajduje się kilkaset metrów od końca deptaka, można odbić wcześniej na lewo, by odwiedzić Cerkiew katedralną świętego Michała Archanioła, w której znajduje się piękny ikonostas.

Natomiast inna znana belgradzka cerkiew, imienia Św. Sawy, leżąca w innej części miasta, jest co prawda olbrzymia, jednak pozostaje wciąż w budowie. Z zewnątrz robi naprawdę duże wrażenie, jak chociażby Sobór Newski w Sofii, ale trzeba wiedzieć, że jest to nowa budowla, której ukończenie potrwa jeszcze zapewne kilkanaście lat. Swoją drogą zastanawia fakt, że wszystkie prawosławne świątynie są wciąż budowane w starym, bizantyjskim stylu i trudno na pierwszy rzut oka stwierdzić, która z nich jest zabytkiem, a która nie.

W drodze na Węgry, okazało się, że odcinek autostrady jakieś 100 km przed Suboticą, jest dopiero w budowie. Na naszej mapie jednak jak byk widniała pięknie wymalowana autostrada, aż do samej węgierskiej granicy. Nawet nie użyto linii przerywanej, używanej do oznaczeń planowanych przebiegów dróg ekspresowych i autostrad, tylko ciągłą linią oznaczyli drogę, której jeszcze nie ma. A może była i się zbyła. A teraz trzeba to naprawić?

Snując takie dywagacje dojechaliśmy tą wirtualną autostradą do Szegedu, a potem dalej już prawdziwym autobanem za winietkę w kwocie 8 euro przez całe Węgry na Słowację. Na Węgrzech zatrzymaliśmy się jedynie na obiad przy zjeździe na Kitelek, jak się okazało, w tureckiej karczmie. Z kolei na Słowacji płaci się za winietkę na 7 dni tylko 5 euro, ale za to autostradą do polskiej granicy się już nie dojedzie.

Przed powrotem do domu musieliśmy jeszcze zaliczyć jeden nocleg i niestety nie obyło się bez przygód. Zatrzymaliśmy się najpierw w przydrożnym hotelu Park w miejscowości Hokoce, jakieś 2 km przed uzdrowiskiem Dudince. Hotel był pełen gości, a na dole na dobre trwała zabawa taneczna. Wzięliśmy pokój, wtargaliśmy walizki na drugie piętro, zaczęliśmy wypakowywać przybory codziennego użytku, a córka pierwsza wbiła się pod prysznic. Niestety za chwilę zawołała mnie żebym zabił kilka żuczków, które chodzą po łazience, bo się ich boi. Okazało się, że cały pokój jest pełen prusaków i karaluchów, co spotkaliśmy bodajże pierwszy raz podczas naszych wszystkich

dotychczasowych wojaży. Zdecydowaliśmy się stamtąd szybko ewakuować odbierając pieniądze i wysłuchując jakichś pokrętnych wyjaśnień, że to z powodu upału.

Na szczęście parę kilometrów dalej były wolne pokoje w nowym pensjonacie „U Młynarki”, gdzie na osłodę otwarty był jeszcze pub, w którym przepłukaliśmy dobrym piwem niesmak, jaki powstał w naszych ustach.

Kolejnego dnia dotarliśmy szczęśliwie do Polski po 24 dniach w podróży i przejechaniu 6200 kilometrów oraz odwiedzeniu 9 krajów, z czego 3 dwukrotnie. Nie wspominałem, że już na samym początku naszej drogi na Bałkany, w Rumunii, popsuka nam się klimatyzacja w aucie, więc większość trasy spędziliśmy w zaduchu i spiekocie, co nie za bardzo pomagało nam w pokonywaniu dłuższych odcinków. Na dodatek wysiadł nam przełącznik LPG i nie wiedzieliśmy kiedy jedziemy na benzynie, a kiedy na gazie, mimo że przed wyjazdem auto było w serwisie zarówno w celu przeglądu klimy i instalacji gazowej właśnie. Ot, taka tam złośliwość rzeczy martwych. Ale za to moc wrażeń z całej wyprawy pozostanie nam zapewne na całe życie.